



BRUNO SCHULZ

Genialna epoka




wolnelektury.pl
Армилла.



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

BRUNO SCHULZ

SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ

Genialna epoka

I

Zwykle fakty uszeregowane są w czasie, nanizane¹ na jego ciąg jak na nitkę. Tam mają one swoje antecedeny² i swoje konsekwencje, które tłoczą się ciasno, następują sobie na pięty bez przerwy i bez luki. Ma to swoje znaczenie i dla narracji, której duszą jest ciągłość i sukcesja.

Czas

Cóż jednak zrobić ze zdarzeniami, które nie mają swego własnego miejsca w czasie, ze zdarzeniami, które przyszły za późno, gdy już cały czas był rozdany, rozdzielony, rozebrany, i teraz zostały niejako na lodzie, nie zaszerogowane, zawieszony w powietrzu, bezdomne i błędne?

Czyżby czas był za ciasny dla wszystkich zdarzeń? Czy może się zdarzyć, aby już wszystkie miejsca w czasie były wyprzedane? Zatraskani, biegniemy wzdłuż tego całego pociągu zdarzeń, przygotowując się już do jazdy.

Na miłość boską, czyżby nie istniał tu pewnego rodzaju ażytoż³ biletów na czas?...
Panie konduktorze!

Tylko spokojnie! Bez zbytecznej paniki, załatwimy to po cichu we własnym zakresie działania.

Czas

Czy czytelnik słyszał coś o równoległych pasmach czasu w czasie dwutorowym? Tak, istnieją takie boczne odnogi czasu, trochę nielegalne co prawda i problematyczne, ale gdy się wiezie taką kontrabandę⁴ jak my, takie nadliczbowe zdarzenie nie do zaszerogowania — nie można być zanadto wybrednym. Spróbujmy tedy odgałęzić w którymś punkcie historii taką boczną odnogę, ślepy tor, ażeby zepchnąć nań te nielegalne dzieje. Tylko bez obawy. Stanie się to niepostrzeżenie, czytelnik nie dozna żadnego wstrząsu. Kto wie — może, gdy o tym mówimy, już nieczysta manipulacja jest poza nami i jedziemy już ślepych torem.

II

Moja matka przybiegła przerażona i objęła mój krzyk ramionami, chcąc go nakryć jak pożar i stłumić w faldach swej miłości. Zamknęła mi usta ustami i krzyczała wraz ze mną.

Matka, Dziecko

Ale odrzuciłem ją i wskazując na słup ognisty, na złotą belkę, która tkwiła ukośnie w powietrzu, jak zadra, i nie dała się zepchnąć — pełna blasku i krząjących w niej pyłów — krzyczałem: — Wydrzyj ją, wyrwij!

Piec naindyczył się wielkim kolorowym bohomazem⁵, namalowanym na jego czole, nabiegł krwią cały i zdawało się, że z konwulsji⁶ tych żył, ścięgien i całej tej napęczniałej do pęknięcia anatomii wyzwolił się jaskrawym, kogucim wrzaskiem.

¹nanizany — nawleczoney. [przypis edytorski]

²antecedens — poprzednik, fakt poprzedzający. [przypis edytorski]

³ażytoż — spekulacja na giełdzie opierająca się na sztucznym podwyższeniu lub zniżeniu cen papierów wartościowych. [przypis edytorski]

⁴kontrabanda — przemyt. [przypis edytorski]

⁵bohomaz — kiepski obraz. [przypis edytorski]

⁶konwulsja — mimowolny, gwałtowny ruch. [przypis edytorski]

Stałem rozkrzyżowany w natchnieniu i wyciągniętymi, wydłużonymi palcami pokazywałem, pokazywałem w gniewie, w przejęciu srogim, wyprężony jak drogowskaz i drżący w ekstazie.

Moja ręka prowadziła mnie, obca i błada, wlokła mnie za sobą, zeszywniała, woskowa ręka, jak wielkie wotywny⁷ dłonie, jak dłoń anielska wzniesiona do przysięgi.

Było pod koniec zimy. Dni stały w kałużach i w żarach i miały podniebienie pełne ognia i pieprzu. Lśniące noże krajały miodną miazgę dnia na srebrne skiby, na przyzmy pełne w przekroju kolorów i korzennych pikanterij. Ale cyferblat⁸ południa gromadził na szczupłej przestrzeni cały blask tych dni i wskazywał wszystkie godziny pałające i pełne ognia.

O tej godzinie, nie mogąc pomieścić żaru, złuszczał się dzień arkuszami srebrnej blachy, chrzęszczącą cynfolią, i warstwa za warstwą odsłaniał swój rdzeń z litego blasku. I jakby nie dość było jeszcze tego, dymiły kominy, kłębiły się lśniącą parą, i każda chwila wybuchała wielkim wzlotem aniołów, burzą skrzydeł, które niebo wchłaniało niesyte, wciąż otwarte dla nowych wybuchów. Jego jasne blanki⁹ eksplodowały białymi pióropuszcami, dalekie fortalicje¹⁰ rozwijały się w ciche wachlarze spiętrzonych wybuchów — pod lśniącą kanonadą niewidzialnej artylerii.

Okno pokoju, pełne po brzegi nieba, wzbierało tymi wzlotami bez końca i przelewało się firankami, które całe w płomieniach, dymiąc w ogniu, spływały złotymi cieniami i drganiem słoj powietrznych. Na dywanie leżał ukośny, pałający czworobok, falując blaskiem, i nie mógł oderwać się od podłogi. Ten słup ognisty wzburzał mnie do głębi. Stałem urzeczony, na rozkraczonych nogach i oszcze kiwałem go zmienionym głosem, obcymi, twardymi przekleństwami.

Na progu, w sieni, stali skonsternowani¹¹, przestraszeni, załamując ręce: krewni, sąsiedzi, wystrojone ciotki. Podchodzili na palcach i odchodzili, zaglądali przez drzwi, pełni ciekawości. A ja krzyczałem.

— Widzicie — krzyczałem do matki, do brata — zawsze mówiłem wam, że wszystko jest zatamowane, zamurowane nudą, nie wyzwolone. A teraz patrzcie, co za wylew, co za rozkwit wszystkiego, co za błogość!...

I płakałem ze szczęścia i z bezsilności.

— Obudźcie się — wołałem — pośpieszcie mi z pomocą! Czy mogę sam jeden podołać temu zalewowi, czy mogę ogarnąć ten potop? Jak mam, sam jeden, odpowiedzieć na milion olśniewających pytań, którymi Bóg mnie zalewa?

A gdy milczeli, wołałem w gniewie: — Śpieszcie się, nabierajcie pełne wiadra tej obfitości, gromadźcie zapasy!

Ale nikt mnie nie mógł wyręczyć, stali bezradni i oglądali się za siebie, cofali za plecy sąsiadów.

Wtedy zrozumiałem, co mam zrobić, i pełen zapалу zacząłem z szaf wyciągać stare foliały¹², wypisane i rozsypujące się księgi handlowe ojca i rzucałem je na podłogę pod ten słup ognisty, który leżał na powietrzu i pałał. Nie można mi było nastarczyć papieru. Brat i matka przybiegali wciąż z nowymi naręczami starych gazet i dzienników i rzucali je stosami na ziemię. A ja siedziałem wśród tych papierów, oślepiiony blaskiem, z oczami pełnymi eksplozji, rakiet i kolorów, i rysowałem. Rysowałem w pośpiechu, w panice, na poprzek, na ukos, poprzez zadrukowane i zapisane stronicie. Moje kolorowe ołówki latały w natchnieniu przez kolumny nieczytelnych tekstów, biegły w genialnych gryzmołach, w karkołomnych zygzakach, zwężając się raptownie w anagramy wizyj, w rebusy świetlistych objawień, i znów rozwiązując się w puste i ślepe błyskawice, szukające tropu natchnienia.

O, te rysunki świetliste, wyrastające jak pod obcą ręką, o, te przejrzyste kolory i cienie! Jakże często jeszcze dziś znajduję je w snach po tylu latach na dnie starych szuflad, lśniące i świeże jak poranek — wilgotne jeszcze pierwszą rosą dnia: figury, krajobrazy, twarze!

⁷wotywny — podarowany jako wotum na pamiątkę cudu, zazwyczaj uzdrowienia. [przypis edytorski]

⁸cyferblat — tarcza zegarowa. [przypis edytorski]

⁹blanki — osłony na szczycie muru obronnego. [przypis edytorski]

¹⁰fortalicje (z łac.) — umocnienia, fortyfikacje. [przypis edytorski]

¹¹skonsternowany — zakłopotany. [przypis edytorski]

¹²foliał (daw.) — księga o dużym formacie. [przypis edytorski]

O, te błękity mrozące oddech zatchnieniem strachu, o, te zielenie zieleniejsze od zdziwienia, o, te preludia¹³ i świergoty kolorów dopiero przeczytanych, dopiero próbujących się nazwać!

Dlaczego roztrwonilem je wówczas w beztrosce nadmiaru z tą niepojętą lekkomyślnością? Pozwalałem sąsiadom przerzucać i plądrować te stosy rysunków. Zabierali całe ich pliki. Do jakich domów nie zawędrowały, na jakich śmietnikach nie wałęsały się wówczas! Adela wytapetowała nimi kuchnię, że stała się jasna i kolorowa, jak gdyby w nocy spadł śnieg za oknem.

Było to rysowanie pełne okrucieństwa, zasadzek i napaści. Gdy tak siedziałem napięty jak łuk, nieruchomy i czatujący, a w słońcu dookoła mnie płonęły jaskrawo papiery — wystarczyło, aby rysunek, przygwożdżony mym ołówkiem, uczynił najłżejszy ruch do ucieczki. Wówczas ręka moja, cała w drgawkach nowych odruchów i impulsów, rzucała się nań z wściekłością jak kot i już obca, zdziczała, drapieżna, w błyskawicznych ukąszeniach zagryzała dziwolągą, który chciał się jej wymknąć spod ołówka. I dopiero wtedy odluźniała się od papieru, gdy martwe już i nieruchome zwłoki rozkładały, jak w zielniku, swą kolorową i fantastyczną anatomię na zeszyście.

Było to mordercze polowanie, walka na śmierć i życie. Któż mógł odróżnić w niej atakującego od atakowanego, w tym kłębku parszającym wściekłością, w tym splątaniu pełnym pisku i przerażenia! Bywało, że ręka moja dwa i trzy razy rzucała się do skoku, ażeby gdzieś na czwartym lub piątym arkuszu dosięgnąć ofiary. Nieraz krzyczała z bólu i przerażenia w kleszczach i szczypcach tych dziwotworów, wijących się pod mym skalpelem.

Z godziny na godzinę coraz tłumniej napływały wizje, tłoczyły się, tworzyły zatory, aż pewnego dnia wszystkie drogi i ścieżki zaroily się i spływały pochodami, i kraj cały rozgałęził się wędrownkami, rozbiegł się ciągnącymi defiladami — nieskończonymi pielgrzymkami bestyj i zwierząt.

Jak za dni Noego płynęły te kolorowe pochody, te rzeki sierści i grzyw, te falujące grzbiety i ogony, te łby, potakujące bez końca w takt stąpania.

Mój pokój był granicą i rogatką. Tu zatrzymywały się, tłoczyły, becząc błagalnie. Kręciły się, dreptały w miejscu trwożnie i dziko — garbate i rogate jestestwa, zaszyte we wszystkie kostiumy i zbroje zoologii, i przestraszone same sobą, spłoszone własną maskaradą, patrzyły trwożnymi i zdziwionymi oczami przez otwory swych skór włochatych i myczały żałośnie, jakby zakneblowane pod swymi maskami.

Czy czekały, żebym je nazwał, rozwiązał ich zagadkę, której nie rozumiały? Czy pytały mnie o swe imię, ażeby w nie wejść i wypełnić je swoją istotą? Przychodziły dziwne maski, twory-pytania, twory-propozycje, i musiałem krzyczeć i odpędzać je rękami.

Wycofywały się tyłem, pochylając głowę i patrząc spode łba, i gubiły się same w sobie, wracały, rozwiązując się w bezimienny chaos, w rupieciarnię form. Ile grzbietów poziomych i garbatych przeszło wówczas pod moją ręką, ile łbów przesunęło się pod nią z aksamitną pieszczołą!

Zrozumiałem wówczas, dlaczego zwierzęta mają rogi. Było to — to niezrozumiałe, które nie mogło pomieścić się w ich życiu, kaprys dziki i natrętny, nierozumny i ślepy upór. Jakaś *idée fixe*¹⁴, wyrosła poza granice ich istoty, wyżej ponad głowę, i wynurzona nagle w światło, zastygła w materię dotykálną i twardą. Tam przybierała kształt dziki, nieobliczalny i niewiarygodny, zakręcona w fantastyczną arabeskę¹⁵ niewidoczną dla ich oczu a przerażającą, w nieznaną cyfrę, pod której grozą żyły. Pojąłem, dlaczego te zwierzęta skłonne były do paniki nierozumnej i dzikiej, do spłoszonego szału: wciągnięte w swój obłąd, nie mogły się wyplątać z gmatwaniny tych rogów, spomiędzy których — pochylając głowę — patrzyły smutno i dziko, jakby szukając przejścia między ich gałęziami. Te rogate zwierzęta dalekie były od wyzwolenia i nosiły ze smutkiem i rezygnacją stygmat swego błędu na głowie.

Ale jeszcze dalsze od światła były koty. Ich doskonałość zatrzażała. Zamknięte w precyzji i akuratności swych ciał, nie znały błędu ani odchylenia. Na chwilę schodziły w głąb,

Zwierzę

¹³preludium (muz.) — instrumentalny wstęp do dłuższego utworu muzycznego. [przypis edytorski]

¹⁴*idée fixe* (fr.) — natrętnie powracająca myśl. [przypis edytorski]

¹⁵*arabeska* — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

na dno swej istoty, i wtedy nieruchomiały w swym miękkim futrze, poważniały groźnie i uroczyście, a oczy ich zaokrąglały się jak księżycy, chłonąc wzrok w swe leje ogniste. Ale po chwili już, wyrzucone na brzeg, na powierzchnię, ziewały swą nicością rozczarowane i bez złudzeń.

W ich życiu pełnym zamkniętej w sobie gracji nie było miejsca na żadną alternatywę. I znudzone w tym więzieniu doskonałości bez wyjścia, przejęte spleenem¹⁶, sarkają¹⁷ zmarszczoną wargą pełne bezprzedmiotowego okrucieństwa w krótkiej, pręgami rozszerzonej twarzy. U dołu przemykały chyłkiem kuny, tchórze i lisy, złodzieje wśród zwierząt, stworzenia o złym sumieniu. Dorwały się one podstępem, intrygą, trickiem swego miejsca w bycie, wbrew planowi stworzenia, i ścigane nienawiścią, zagrożone, wciąż na straży, wciąż w trwodze o to miejsce — kochały żarliwie swój kradziony, po norach kryjący się żywot, gotowe dać się poszarpać na sztuki w jego obronie.

Wreszcie przeszły wszystkie, i cisza zagościła w moim pokoju. Znów zacząłem rysować, zatopiony w moich szpargałach, które oddychały blaskiem. Okno było otwarte i na gzymsie okiennym drżały w wiosennym wietrze synogarlice i turkawki. Przechylając głowę, pokazywały okrągłe i szklane oko w profilu, jakby przerażone i pełne lotu. Dni pod koniec stały się miękkie, opalowe i świetliste, to znowu perłowe i pełne zamglonej słodyczy.

Nadeszły święta wielkanocne, i rodzice wyjechali na przeciąg tygodnia do mej zamężnej siostry. Pozostawiono mnie samego w mieszkaniu, na łup mych inspiracji. Adela przynosiła mi co dzień obiady i śniadania. Nie zauważałem jej obecności, gdy przystawała na progu odświętnie ubrana, pachnąc wiosną ze swoich tiulów i fularów¹⁸.

Przez otwarte okno wpływały łagodne powiewy, napełniając pokój refleksami dalekich krajobrazów. Przez chwilę utrzymywały się w powietrzu te nawiane kolory jasnych dali i wnet rozplywały się, rozwiewały w cień błękitny, w tkliwość i wzruszenie. Powódź obrazów uspokoiła się nieco, wylew wizyj złagodniał i ucichł.

Siedziałem na ziemi. Dookoła mnie leżały na podłodze kredki i guziczki farb, boże kolory, lazury dyszące świeżością, zielenie zbłąkane aż na kraniec zdziwienia. I gdy brałem do ręki czerwoną kredkę — w jasny świat szły fanfary szczęśliwej czerwieni, i wszystkie balkony płynęły falami czerwonych chorągwi, i domy ustawiły się wzdłuż ulicy w tryumfalny szpaler. Defilady strażaków miejskich w malinowych uniformach paradowały na jasnych, szczęśliwych drogach i panowie kłaniali się melonikami koloru czereśni. Czereśniowa słodycz, czereśniowy świegot szczygłów napełniał powietrze pełne lawendy i łagodnych blasków.

A gdy sięgałem po błękitną barwę — szedł ulicami przez wszystkie okna odbłask kobaltowej wiosny, otwierały się, dźwięcząc, szyby, jedna za drugą, pełne błękitu i ognia niebieskiego, firanki wstawały jak na alarm i przeciąg radosny i lekki szedł tym szpalerem wśród falujących muślinów i oleandrów¹⁹ na pustych balkonach, jak gdyby na drugim końcu tej długiej i jasnej alei ktoś zjawił się bardzo daleki i zbliżał się — promienny, poprzedzany przez wieść, przez przecucie, zwiastowany przez loty jaskółek, przez wici²⁰ świetliste, rozrzucone od mili do mili.

III

W same święta wielkanocne, z końcem marca lub z początkiem kwietnia, wychodził Szloma, syn Tobiasza, z więzienia, do którego zamykano go na zimę po awanturach i szaleństwach lata i jesieni. Pewnego popołudnia tej wiosny widziałem go przez okno, jak wychodził od fryzjera, który był w jednej osobie balwierzem, cyrulikiem²¹ i chirurgiem miasta, otwierał z dystynkją²², nabytą pod rygiorem więziennym, szklane, błyszczące drzwi fryzjerskie i schodził z trzech drewnianych schodków, wyświeżony i odmłodzony,

¹⁶spleen (z ang.) — poczucie smutku i beznadziejności życia. [przypis edytorski]

¹⁷sarkać — wyrażać niezadowolenie, często w sposób nieuprzejmy. [przypis edytorski]

¹⁸fular — cienka jedwabna chustka. [przypis edytorski]

¹⁹oleander — wiecznie zielony krzew o skórzastych liściach. [przypis edytorski]

²⁰wici (daw.) — wezwanie na wojnę w formie gałązek (witek). [przypis edytorski]

²¹cyrulik — fryzjer wykonujący również proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

²²dystynkja — tu: dystygowane zachowanie. [przypis edytorski]

z wystrzyżoną dokładnie głową, w przykrótkim surduciku i podciągniętych wysoko kra-
ciastych spodniach, szczupły i młodzieńczy mimo swoich czterdziestu lat.

Plac Św. Trójcy był o tym czasie pusty i czysty. Po roztopach wiosennych i błotach,
spłukanych później ulewnymi deszczami, pozostał teraz bruk umyty, wysuszony w wielu
dniach cichej, dyskretnej pogody, w tych dniach wielkich już i może zbyt obszernych na
tę wczesną porę, wydłużonych trochę nad miarę, zwłaszcza wieczorami, kiedy zmierzch
przedłużał się bez końca, pusty jeszcze w swej głębi, daremny i jałowy w swym ogromnym
oczekiwaniu.

Gdy Szloma zamknął za sobą szklane drzwi fryzjerni, weszło w nie natychmiast niebo,
jak we wszystkie małe okna tego piętrowego domu, otwartego ku czystej głębi cienistego
nieboskłonu.

Zszedłszy ze schodków, znalazł się całkiem samotny na brzegu wielkiej, pustej muszli
placu, przez którą przepływał błękit nieba bez słońca.

Ten wielki, czysty plac leżał owego popołudnia jak bania szklana, jak nowy nie zaczęty
rok. Szloma stał na jego brzegu całkiem szary i zgaszony, zawałony błękitami, i nie śmiał
łamać decyzją tej doskonałej kuli dnia nie zużytego.

Tylko raz w roku, w dniu wyjścia z więzienia, czuł się Szloma tak czystym, nieob-
ciążonym i nowym. Dzień przyjmował go wówczas w siebie umytego z grzechów, od-
nowionego, pojednanego ze światem, otwierał przed nim z westchnieniem czyste kręgi
swych horyzontów, uwieńczone cichą pięknnością.

Nie śpieszył się. Stał na krawędzi dnia i nie śmiał przekroczyć, przekreślić swym drob-
nym, młodym, lekko utykającym chodem tej łagodnie sklepionej konchy²³ popołudnia.

Przejrzysty cień leżał nad miastem. Milczenie tej trzeciej godziny po południu wydo-
bywało z domów czystą biel kredy i rozkładało ją bezgłośnie, jak talię kart, dookoła pla-
cu. Obdzieliwszy go jedną turą, napoczynało już nową, czerpiąc rezerwy bieli z wielkiej,
barokowej fasady Św. Trójcy, która, jak zlatująca z nieba ogromna koszula Boga, po-
fałdowana w pilastry²⁴, ryzality²⁵ i framugi²⁶, rozsadzona patosem wolut²⁷ i archiwolt²⁸,
porządkowała na sobie w pośpiechu tę wielką wzburzoną szatę.

Szloma podniósł twarz, wietrząc w powietrzu. Łagodny powiew niósł zapach olea-
ndrów, zapach świątecznych mieszkań i cynamonu. Wtedy kichnął potężnie swym sław-
nym, potężnym kichnięciem, od którego gołębie na odwachu²⁹ policji zerwały się prze-
straszone i wleciały. Szloma uśmiechnął się do siebie: Bóg dawał znać przez wstrząs jego
nozdrzy, że wiosna nastała. Był to znak pewniejszy niż przyłot bocianów, i odtąd dni
miały być przetykane tymi detonacjami, które zagubione w szumie miasta, to bliżej, to
dalej głosowały³⁰ jego zdarzenia swym dowcipnym komentarzem.

— Szloma! — zawolałem, stojąc w oknie naszego niskiego piętra.

Szloma dostrzegł mnie, uśmiechnął się swym miłym uśmiechem i zsalutował.

— Jesteśmy teraz sami w całym rynku, ja i ty — rzekłem cicho, gdyż wydęta bania
nieba rezonowała jak beczka.

— Ja i ty — powtórzył ze smutnym uśmiechem — jak pusty jest dziś świat.

— Moglibyśmy podzielić go i nazwać na nowo — taki leży otwarty, bezbronny i ni-
czyj. W taki dzień podchodzi Mesjasz aż na brzeg horyzontu i patrzy stamtąd na ziemię.
I gdy ją tak widzi białą, cichą, z jej błękitami i zamyśleniem, może się zdarzyć, że mu
się zgubi w oczach granica, niebieskawe pasma obłoków podłożą się przejściem i sam nie
wiedząc, co czyni, zejdzie na ziemię. I ziemia nawet nie zauważy w swej zadumie tego,
który zszedł na jej drogi, a ludzie obudzą się z popołudniowej drzemki i nie będą nic
pamiętali. Cała historia będzie jak wymazana i będzie jak za prawieków, nim zaczęły się
dzieje.

— Czy Adela jest w domu? — zapytał z uśmiechem.

²³koncha — muszla. [przypis edytorski]

²⁴pilaster — dekoracyjny płaski filar połączony ze ścianą. [przypis edytorski]

²⁵ryzalit — wysunięta naprzód część fasady. [przypis edytorski]

²⁶framuga — rama, do której przymocowane jest okno lub skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

²⁷woluta — ornament architektoniczny w formie zwoju lub spirali. [przypis edytorski]

²⁸archiwolta — dekoracyjny łuk oparty na małym gzymsie. [przypis edytorski]

²⁹odwach — posterunek. [przypis edytorski]

³⁰głosować — umieszczać notatki lub dopiski na marginesie. [przypis edytorski]

— Nie ma nikogo, wejdz do mnie na chwilę, pokażę ci moje rysunki.
— Jeżeli nie ma nikogo, nie odmówię sobie tej przyjemności. Otwórz mi.
I rozglądając się w bramie na obie strony ruchem złodzieja, wszedł do środka.

IV

— To są kapitalne rysunki — mówił, oddalając je od siebie gestem znawcy. Jego twarz rozjaśniła się refleksami kolorów i światła. Czasami związał dłoń dookoła oka i patrzył przez tę zaimprovizowaną lunetę, ściągając rysy w grymas pełen powagi i znawstwa.

— Można by powiedzieć — rzekł — że świat przeszedł przez twoje ręce, ażeby się odnowić, ażeby zlenić³¹ się w nich i złuszczyć jak cudowna jaszczurka. O, czy myślisz, że byłbym kradł i popełniał tysiąc szaleństw, gdyby świat nie był tak bardzo się zużył i podupadł, gdyby rzeczy nie były w nim straciły swej pozłoty — dalekiego odbłasku rąk bożych? Cóż można począć w takim świecie? Jak nie zwątpić, jak nie upaść na duchu, gdy wszystko jest zamknięte na głucho, zamurowane nad swoim sensem, i wszędzie tylko stukasz w cegłę, jak w ścianę więzienia? Ach, Józefie, powinieneś być wcześniej się urodzić.

Staliśmy w tym na pół ciemnym, głębokim pokoju, wydłużającym się perspektywnie ku otwartemu oknu na rynek. Stamtąd dochodziły aż do nas fale powietrza w łagodnych pulsach, rozpościerając się ciszą. Każdy przyływ przynosił nowy jej ładunek zaprawiony kolorami dali, jak gdyby poprzedni już był zużyty i wyczerpany. Ciemny ten pokój żył tylko refleksami³² dalekich domów za oknem, odbijał ich kolory w swej głębi, jak *camera obscura*³³. Przez okno widać było, niby w rurze lunety, gołębie na odwachu policji, napuszone, spacerujące wzdłuż gzymsu attyki. Czasami zrywały się wszystkie razem i zataczały półkole nad rynkiem. Wtedy pokój rozjaśniał się na chwilę od ich otwartych lotek, rozszerzał się odbłaskiem ich dalekiego trzepotu, a potem gasł, gdy opadając zamykały skrzydła.

— Tobie, Szloma — rzekłem — mogę zdradzić tajemnicę tych rysunków. Już od początku nachodziły mnie wątpliwości, czy jestem naprawdę ich autorem. Czasami wydają mi się mimowolnym plagiatem, czymś, co mi zostało podpowiedziane, podsunięte... Jak gdyby coś obcego posłużyło się mym natchnieniem dla nie znanych mi celów. Gdyż muszę ci wyznać — dodałem po cichu, patrząc mu w oczy — znalazłem Autentyk...

— Autentyk? — zapytał z twarzą rozjaśnioną nagłym blaskiem.

— Tak jest, sam zresztą zobacz — rzekłem, przyklękając nad szufladą komody.

Wyjąłem naprzód jedwabną suknię Adeli, pudełko ze wstążkami, jej nowe pantofelki na wysokich obcasach. Zapach pudru czy perfumy rozszedł się w powietrzu. Podniosłem jeszcze kilka książek: na dnie leżał w samej rzeczy długo nie widziany, drogi szpargał i świecił.

— Szloma — rzekłem wzruszony — popatrz, oto leży...

Ale on stał zatopiony w medytacji z pantofelkiem Adeli w ręku i przyglądał mu się z głęboką powagą.

— Tęgo Bóg nie powiedział — rzekł — a jednak, jak mnie to głęboko przekonywa, przypiera do ściany, odbiera ostatni argument. Te linie są nieodparte, wstrząsająco trafne, ostateczne i uderzają, jak błyskawica, w samo sedno rzeczy. Czym zasłonisz się, co im przeciwstawisz, gdy sam już jesteś przekupiony, przegłosowany i zdradzony przez najwierniejszych sprzymierzeńców? Sześć dni stworzenia było bożych i jasnych. Ale siódmego dnia uczuł On obcy wąż pod rękami i, przerażony, odjął ręce od świata, choć jego zapal twórczy obliczony był na wiele jeszcze dni i nocy. O, Józefie, strzeż się siódmego dnia...

I podnosząc ze zgrozą smukły pantofelek Adeli, mówił jakby urzeczony połyskliwą, ironiczną wymową tej pustej luszki z laku: — Czy rozumiesz potworny cynizm tego symbolu na nodze kobiety, prowokację jej rozwiązłego stąpania na tych wymyślnych obcasach? Jakże mógłbym cię pozostawić pod władzą tego symbolu. Broń Boże, bym to miał uczynić...

Kradzież

³¹zlenić — zrzucić skórę. [przypis edytorski]

³²refleks — błysk światła a. odbicie. [przypis edytorski]

³³*camera obscura* — prototyp aparatu fotograficznego: światłoszczelna skrzynka z otworkiem, rzutująca obraz na jedną ze ścian. [przypis edytorski]

Mówiąc to, wsuwał wprawnymi ruchami pantofelki, suknię, korale Adeli w zanadrze.
— Co robisz, Szloma? — rzekłem w osłupieniu.

Ale on szybko oddalał się ku drzwiom, utykając lekko w swych przykrótkich, kra-
ciastych spodniach. W drzwiach odwrócił raz jeszcze szarą, całkiem niewyraźną twarz
i podniósł rękę do ust ruchem uspokajającym. Już był za drzwiami.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że
możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi
materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały
udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sanatorium-pod-klepsydra-genialna-epoka>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, Biblioteka
Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana
przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: Double--M@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz
wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy
je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.